

— Czekaście, — rozmyślał — zemszczę się ja na was za wszystko — i za twoją kramolę, Aleksy — i za to, żeś mną pogardził, Marfo. A pierwsza u mnie rzecz: służba dla cesarza. Nie na darmo ja tu między wami krążę. Porządek stary już się walił — a ja go podtrzymam, podlecę, kanalej!

Tymczasem od strony Jeleniego Jaru zaczęli się zbierać spiskowi. Byli tam naprzód Aleksy z Marfą, dalej bardzo czynni przedstawiciele partji Czepuchin i Jerundow, grupa studentów, robotnicy, przeważnie kolejowi, kilka panien po miejsku ubranych i chłopci w liczbie siedmiu, niekoniecznie bezrolni, ówsem byli między nimi zamożni gospodarze. Zgromadzeni rychło wybrali prezydium, a przewodniczącym został Miron. Bez długich wstępów rozpoczął on przemowę do zebranych, którzy już to stali, już to na pniach zrąbanych siedzieli, już to nawet leżeli na trawie.

Mówił krótko.

— Mili bracia, zebraliśmy się tutaj, aby mówić o ważnych sprawach. Od kiedy Rosja przegrała wojnę Japońską — idzie swoboda.

Ten wyraz „Swoboda” nie był jasny dla niektórych słuchaczy zwłaszcza dla chłopów i robotników. Chłopi zresztą dość apatycznie słuchali tego hasła, gdyż co innego mieli na myśli, ale robotnicy kolejowi zaczęli między sobą dyskusję, prowadzili ją głośno tak, że przerwali tok mowy Mirona.

— Jaka to swoboda? Pytał jeden robotnik.

— A no — swoboda — rzekł inny — to tak jak w Anglii albo u Francuzów.

— I u Polaków tak samo — zauważył trzeci. Ale drugi zaprotestował: jakto u Polaków? Przecież oni tak samo poddani naszego cesarza.

Tamten zaś: — Pewnie. A ile ty masz na miesiąc za twoją robotę przy kolei.

— Czterdzieści pięć rubli.

— Widzisz, a monterzy z Warszawy, co tu do nas przyjechali, po ile brali?

— Wiadomo, po 120 rb.

— Widzisz. A dlaczego brali więcej, niż my?

— Dla czego?

— A dla tego, że oni dwa razy robili powstanie. Rozumiesz?

— Rozumiem. Więc my...

— Więc my też powinniśmy zrobić powstanie.

Ale tu powstał nowy spór o termin. Czepuchin nie uznawał wyrazu „powstanie” za właściwy; lepszy mu się wydawał termin „rewolucja”. Miron uważał za potrzebne przytęczyć się do rozprawy, wchodząc w logikę ludu.

— Sprawiedliwie mówi ten proletariusz. Słyszałem wasze uwagi o swobodzie. Gdybyśmy zrobili rewolucję po swojemu, jak Polacy po ichniemu — to u nas każdy robotnik brałby, jak monterzy warszawskie, albo i lepiej.

— Świetnie powiedziane — zawołał jeden ze studentów, a jedna z panien w czerwonej sukni, aż westchnęła i powiada:

— Niech żyje Miron! Zawsze coś tak powie z pod samego serca.

(d. c. n.).

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

—O:—

SZCZĘŚCIE.

— Wiesz, że człowieka szczęśliwego jak Karol, w życiu nie spotykałem.

— Cóż takiego?

— Wyobraź sobie, pożyczył od kogoś sto tysięcy marek i umarł!

MYŚL.

Jednak to jest bardzo dziwne, iż są na świecie stworzenia, które mają rogi a nie boga. Weźmy na ten przykład: małż.

W SĄDZIE.

Sędzia. Rzuciłaś pani swojej służącej garnek z masłem na głowę, że się aż rozbił. Co pani masz na swoje usprawiedliwienie?

Oskarżona. Panie sędzio, to masło było już zepsute.

DZIEDZICZNE.

— Doprawdy, dziwi mnie pańska chwiejność usposobienia, panie Henryku. Raz jesteś energiczny i odważny jak mężczyzna, to znów chwiejny i kapryśny jak kobieta.

— To jest dziedziczne, proszę pani. Bo trzeba wiedzieć, mój ojciec był mężczyzną, matka zaś kobietą.

ADAM BRZEG.

Zwierciadło kobiety.

Powieść.

XII

Wrodzony pęd myśli do odcyfrowania zagadek życia, nawyk mózgu do ustawicznego wysiłku w kierunku badania skomplikowanych problemów chwili bieżącej, nie pozwolił Szelidze na porzucenie w kącie dalszej pracy nad wysłedzeniem utajonych węzłów zagadkowego dramatu.

Gdy myśleć zaczął dnia następnego o projekcie wyjazdu i wypoczynku, wstręt jakiś poczuł niezmierny do zmiany trybu życia. Wahał się jeszcze do wieczora, kazał służącej przygotować walizy, kręcił się po pokoju, zastanawiał się dokąd wyjechać, a potem wieczorem udał się, znów do tej samej restauracji, gdzie przeżył chwilę zapomnienia i bez troski, usiadł nieopodal świetnej, pełnej temperamentu orkiestry francuskiego skrzypka Raula Ponseta, i pijąc kieliszek po kieliszku cudownego, oryginalnego francuskiego likieru, pogrążał się w myślach lotnych, chyżych, tak dalekich od codziennego wiru trosk, przygnębienia, depresji. Likier, czarna kawa i cygara, lub mocne papierosy dawały mu teraz najwięcej szczęścia. Ogarniała go codzienność pod wieczór ta lekka, nerwowa gorączka, która szarzyźnie codzienności dodaje jakiegoś nowego, choć nieco sztucznego poletu, przyspiesza ruch serca, pobudza włókni-mózgowe do energiczniejszej pracy, podnieca wrażliwość, zaostża zmysły i czyni z człowieka jakiś precyzyjny instrument, na którym, jak na harfie Eola wicher życia wygrywa najsłodsze tony.

Nad ranem wracał wtedy do domu zmęczony, z nerwami zwiórczałymi, od przedługiego napięcia, zasypiał twardo, leżał w łóżku do późna, byle nie widzieć jasnego dnia, byle jak najszybciej zbliżyć się do godziny jesiennego zmierzchu, kiedy można zapalić lampy w pokoju i paląc papierosa, spokojnie pogrążyć się w to samotne farnienie, które jest niby pół snem, pół marzeniem.

Nienawidził teraz począł światło jasnego dnia. Ciemna noc przynosiła mu ukojenie, kładła mu na czoło dłoń — cienie mgliste, zasłaniała szerokim, ciemnym płaszczem okna pokoju i wraz z głuchą, niezmęczoną ciszą wiernie czuwała na progu jego pokoju.

Ale po kilku dniach takiej absolutnej idiosynkrazji dla prowadzonych badań nad zagadkowym życiem i zgonem Ireny Humanieckiej, zaczął sobie przypominać, że niegdyś na pierwszą wleść o jej zgonie, zaprzysiągł sobie, że wykryje jej morderców, imię jej oczyści z zarzutów jej stawianych, uwłaczających jej pamięci.

Podarł w strzępy jej dziewczęcą podobiznę, zabił w sobie ten romantyczny kult dla niej, który zapuścił mu korzenie głębokie w duszy, iż jak wieczyste przekleństwo wlokła się za nim biała wizja tej kochanej niegdyś, tak pięknej, pożądanej kobiety.

Dziś przecież wiedział, że Ira była bohaterką sercowego dramatu, jak tuziny innych kobiet i z pewnym niesmakiem i rozczarowaniem myślał o tem, że nawet ona nie ustrzegła się szablonowego „trójkąta”, gdy tylko ten trzeci umiał zaaranżować nocne eskapady nęcące czarem egzotyczności, zdołał znieść tego rajskiego ptaka do swojej klatki, bardziej wytwornej, bardziej złoczonej, może przepychu pełnej i cudzoziemskiego wykwinu.

I wtedy, w jedną z bezsennych nocy przyczołgała się do łóża Szeligi dziwna istota: z motką przedziwne kształty osób, chimeryczne, kapryśne postacie nagich kobiet, płasy jakichś egzotycznych tancerek, igraszki miłosne Amora i Psychy, Ledy i Iabędzia, fauna i nimfy nagiej, złowionej nad brzegiem bajecznego, zaklętego jeziora, po którym płyną o zmierzchu czarne, smukłe Iabędzie... Ciekawość i chorobliwie rozigrana fantazja złączyły się tu w jedno, rzucając na ekran wyobraźni człowieczej skaczące, podniecające sceny, pełne dreszczu i emocji, a myśl chorobliwie podniecona starała się dosnuć resztę tej kanwy iluzji, tych wytworów sztucznie podnieconego mózgu.

I Szeligę, który już na szereg dni cisnął w kącie swą pracę nad dojściem do kłębka tajemnicy, choć nic tajemnie ukrytą zdołał już wykryć drogą przypadku w labiryncie sprzeczności i gmatwaniny niezrozumiałego, poczęła

pożerać teraz nowa namiętność, której nie miał sił się oprzeć: ciekawość przeżyć igrę z tajemniczym kochankiem, który wszak dziękował jej za „szczęście doznane”.

Wiedział, że on jedyny ma dziś klucz do zagadki, o ile sam Humaniecki nie był wtajemniczony w zagadkę życia i tajemniczych przeżyć swej żony. I dziś problem śmierci Iry przedstawiał się Szelidze w zgoła odmiennym świetle, i zrozumiałszą się mu nieco stała ta dziwna atmosfera zimnej obojętności, z jaką odnosili się do siebie w ostatnich miesiącach poróżnienia na jakimś tle poważnym, małżonkowie.

I tu znów wyłaniał się przed Szeligą jakiś obowiązek dalszego śledzenia zagadki zgonu Iry. Bo jeśli to małż w przystępie zemsty za miłość zbrukaną grzechem, dłoń swe umaczał w straszonym czynie, on jeden, Szeliga, może tu rzucić na zagadkową sprawę snop światła.

Zaś jeśli to obcy, cudzoziemcy wmieszani są w ten krwawy dramat kobiety, wtedy on, będąc przypadkiem na tropie morderców, pozostających w tak bliskim kontakcie ze zmarłą, musi odsłonić ukryty całun zagadki i spełnić swój obowiązek, choćby ciężar jego był i ponad własne siły, aż do końca.

* * *

W konsulacie i ambasadzie francuskiej nie wiele umiano mu powiedzieć o dwóch cudzoziemcach, przypuszczalnych przybyszach z Francji. W aktach konsulatu stwierdzono, że p. Gaston Choderry, rentier, wziął wizę przed wyjazdem do Szwajcarii, dokąd się udawał na dłuższy pobyt. O tem, jakoby był urzędnikiem ambasady, lub konsulatu francuskiego, nic nie wiadano. Data wizy, udzielonej p. Choderry, wyprzedzała o tydzień dzień śmierci Iry Humanieckiej.

Na pytanie, czy w tym samym czasie nie udzielono w konsulacie wizy drugiemu cudzoziemcowi imieniem Louis, odpowiedziano Szelidze nieco opryskliwie, że samo imię jakiegoś francuza tu nie wystarcza.

Szeliga podkreślił wówczas, że prosi o możliwie skrupulatnie zbadanie sprawy, i zaznaczył, że żąda wyjaśnień w drodze urzędowej, tak bowiem upoważnił go niegdyś czynić znajomy komisarz policji.

Dodał, że chodzi mu o blizkiego znajomego p. Gastona Choderry, który podobno był byłym pilotem armji francuskiej.

W spisie wystawionych paszportów i wiz udzielonych w tym mniej więcej terminie, figurowały dwa nazwiska odpowiadające liczbą lat poszukiwanemu mężczyźnie. Jeden z wyjeżdżających był Louis de Villefranche, oficer zdemobilizowany, oraz drugi Louis Fougère lat 31, były pilot eskadry wojennej.

Adresów mieszkania tutejszego obu tych cudzoziemców w konsulacie nie znano, ale wskazano śledcze biuro meldunkowe, które niewątpliwie miało obu cudzoziemców w ewidencji.

Z konsulatu udał się Szeliga natychmiast do biura meldunkowego i tutaj dowiedział się, że obaj panowie: Gaston Choderry i Louis Fougère mieszkali w willi, będącej własnością p. Choderry, przy szosie Niemczynowskiej.

Szosa Niemczynowska znajdowała się dość daleko za miastem, trzeba było wybrać się tam samochodem, lub dorożką.

Na tę wyprawę trzeba już było specjalnie się przygotować. Dochodząc bowiem już do jądra tajemnicy, do miejsca, gdzie prawdopodobnie znajdowało się zaciszne teatr sercowego dramatu Iry Humanieckiej, należało przedsiębrać wszystkie środki ostrożności. Czuł bowiem Szeliga, że tam w tej willi, zdala za miastem, musiały się rozgrywać sceny o poważnym znaczeniu dla ukrytego w tajemnicy wewnętrznego życia Iry dramatu psychicznego, wykrytych już osób. Bogaci cudzoziemcy, posiadacze willi podmiejskiej, musieli żyć życiem skomplikowanym, okrytym tajemnicą przed wzrokiem ciekawych, a każdy przedwczesny, szorstki krok na tej głównej arenie wydarzeń, każda omyłka niefachowego poszukiwacza, wszelka niedyskrecja omyłkowego wywiadu, mogła spłoszyć pozostających na miejscu komparsów, mogła zatrusować jasną, przejrzystą prawdę tajemniczych wydarzeń, pozostających w przyczynowym związku z dramatem rodzinny Humanieckich.

Bo jeżeli nawet obaj cudzoziemcy wyjechali, jeśli opuścili pośpiesznie swą willę, jakby w obawie pościgu karzącej dłoni sprawiedliwości, to przecież musi osoba jakaś otaczać